TAK KARZE SUMNIENIE. (*powieść*)
(*Dokończenie*).

Czas, który niekiedy cierpienia nasze łagodzi: w tym razie stracił swą władzę; zdawało się owszem, że nieszczęście, spadłe na mieszkańców zamku Wilamroza, wzrastało codziennie. Melancholija Rozaury powiększała się widocznie i groziła niebezpieczeństwem jey umysłowi i zdrowiu: każda chwila w gorszy stan ją wprowadzała. Hrabia nie chciał wnuka widzieć przed sobą, a przy tém rzadko kiedy i to w naysurowszych wyrazach przemawiał do Rozaury, o nieszczęściu ich dotykającém; tak srogie postępowanie oyca przywodziło ją do rozpaczy, a chociaż Alonzo starał się pocieszać, lecz te słowa do jey serca przystępu nie miały.

Jednego razu kiedy Rozaura w ciężkiey tęsknocie pogrążona, leżała na sofie w swoim pokoju, doniesiono, że jakiś nieznajomy żądał z nią pomówić. Nadzieja usłyszenia czegokolwiek o mężu skłoniła ją do zezwolenia na to. Wszedł starzec z siwą brodą, i list jey podał; lecz nim pośpieszyła zapytać, skądby przybywał, już go nie było. Przeczucie opanowało jey serce: przeczucie niemylne!.. Otworzyła więc list, i czytała:

,, Droga Rozauro! Ludzkości tego samego kapitana, który mnie wyrwał z twojego łona, winienem, że mi ułatwił korrespondencyą. Wié on, co się w niey zawiéra. Przyrzekł, że rąk twych dóydzie; wierzę jego słowu. Powinie-

nem sam ci to objawić, co i bez tego... a zapewne w fałszywey postaci przeydzie do ciebie. Wiele występków zgryzotą mnie przywala: lecz ze wszystkich ten jest naycięższy, że ciebie, czysta, niewinna istoto! razem z sobą w przepaść wciągnąłem, i zgubiłem na wieki — Kochałem ciebie.. co mówię, kochałem! jakież słowo wystarczy na wydanie tego, com czuł dla ciebie? Postępku to wszakże mojego usprawiedliwić nie może; przed sądem, litości błagać nie będę... lecz teraz odzywam się do ciebie, do twojego serca. Czy to serce jeszcze bije dla mnie? Z jakiém uczuciem ty o mnie wspominasz? z jakiém patrzysz na mojego Manfreda? Rozauro! na naszego syna... na syna naszey miłości? Rozauro! imieniem naszego dziecka; na przysięgę w dniach naywyższey naszey szczęśliwości przez ciebie wykonaną, na tę przysięgę, która cię łańcuchem żelaznym do mnie przykuła, zaklinam, jeśli jeszcze choć jeden głos w twojém sercu za mną przemawia, idź za nim, i nie day mnie umrzeć w rozpaczy."

Pierwszy raz od okropney chwili, kiedy Woldemar z objęcia Rozaury był wydarty, potoczyły się łzy z jey oczu. Było to zwykłą ulgą w jey udręczeniach. Płynęły łzy na wspomnienie tego, który, ona to tylko czuć mogła, był dla niey jeszcze równie drogim. „O móy Woldemarze! zawołała, naytkliwszém uczuciem przejęta: głos ten w mojém sercu nie ucichł jeszcze, póydę za nim, bo kocham ciebie, i będę kochała, póki krew nie zastygnie w mych żyłach: będę kochała ciebie, oyca mojego dziecięcia!"

Potém zamknęła drzwi, żeby jey nikt nie przerwał, i daley czytała:

„Perły, jak mówi dawnych wieków podanie, łzy rokują; spadły one z twojey szyi w dzień naszego ślubu: a ja żartowałem z tego zdarzenia, jako ze czczego przesądu. Dziś, ach Rozauro! ta wróżba błaha, spełniła się nad tobą: i jakże prędko, jak okrutnie. Stałem się przyczyną łez, gorzkich łez twoich. Rozdarłem serce twoje, jak tygrys, bez litości szarpałem je szponami. A jednak tyś droższa dla mnie nad wszystko w świecie; o ciebie się tylko troszczę! Wiele powinienem wyjawić przed tobą; nie dla tego, żebym się usprawiedliwił... cóż bowiem występki, moim podobne, usprawiedliwić może!"

„Urodziłem się we wsi moich rodziców nie daleko od B.... Oyciec móy był naylepszym człowiekiem, lecz tylko nadto słabym. Majątek jego pozwalał dać mi dobre, przyzwoite mojemu urodzeniu, wychowanie. Nie miałem jeszcze lat dziesięciu, kiedy matkę, a z nią moje szczęście straciłem. W kilka miesięcy po jey zgonie oyciec móy wszedł w powtórne związki z wdową mającą syna lat moich. Chłopiec ten, złośliwy i zawistny, prędko mnie znienawidział, starał się więc przy każdém zdarzeniu oczerniać mnie w oczach swey matki, i wkrótce ona zaczęła każdy móy postępek ze złey strony uważać; tak oboje z piekielną zawziętością na mnie powstając, odstręczyli ode mnie serce oycowskie, i zostałem zupełnie nieszczęśliwym. Z początku byłem posępny, zamyślony, a wkońcu na wszystko zatwardziały. W *dziecku* zrodziło się uczucie, które *młodzieńca* naprzód

do występków, a potém do zbrodni przywiodło; za nie dzisiay *mąż dóyrzały* ciężko odpłaca utratą szczęścia na ziemi i w przyszłém życiu. Udałem się do uniwersytetu G . . . . skiego, dokąd przed mojém jeszcze przybyciem macocha pisała do żony jednego z professorów, niegdyś sobie znajomey, wystawując móy obraz w nayszkaradnieyszych kolorach. Dowiedziałem się o tém poźniey z ust samego professora, który jednego razu na mnie rozgniewany wygadał wszystko, co miał na sercu. Z przyczyny tak złego uprzedzenia, z początku obchodzono się ze mną nie życzliwie; lepszych uczniów odstręczano od mojego towarzystwa: ponieważ każdy utrzymywał, że matka nie głosiłaby tak zle o mnie, gdybym niebył jeszcze gorszym, niż ona opisywała. Czułem w całey mocy niesprawiedliwość postępowania nieprzychylnych dla mnie nauczycieli. Rozpustni złączyli się ze mną, i stałem się *w istocie* takim, za jakiego mnie wprzódy nayniesłuszniey uważano. Przyjaźń źmienna dopełniła reszty; coraz się poniżałem, i nakoniec nie skończywszy nauk, z dwóma towarzyszami zostałem usuniony z uniwersytetu. List mojego oyca, piorunujący przeklęstwem, i zabraniający mi powrotu do jego domu, zgasił w moich piersiach ostatnią iskierkę skłonności do dobrego. Poszedłem za radą moich towarzyszów, i udałem się z nimi do twojey oyczyzny, nie wiedząc zgoła, co tam miałem przedsięwziąć, i z czego się utrzymywać. Tak bez namysłu, bez celu, przybyłem do Madrytu, gdzie jeden z moich współwędrowników spodziewał się znaleźć krewnego bogatego: za przybyciem dowiedzie-

liśmy się, że ten oddawna już nie żył. Nie wielki nasz zapas pieniężny prędko się wyczerpał, i sama potrzeba zmuszała, cokolwiek bądź przedsiębrać. Wtenczas, o aniele nieskażony! ty się ze wzdrygnieniem odwrócisz ode mnie: wtenczas i ja, i moi przyjaciele, *nieprzyjaciołmi* zwać ich raczey powinienem, przystaliśmy do bandy zbóycow, napełniającey już okropnością całą Hiszpaniją. Dowódzca jey nazwiskiem *Masseto Żowalini*, wkrótce szczególniey mnie polubił, i coraz bardziey tak się do mnie przywiązywał, że naostatek przy końcu swojego życia, zalecił mnie na herszta. Zbóycy przystali na to, z warunkiem, abym razem z władzą imie jego odziedziczył. Umarł Masseto, zostawując mi swoje skarby, lecz razem też niemożność opuszczenia bandy, chociażbym tego życzył. Przysięga straszliwa przykuła mnie do tych wyrzutów od ludzi. Przed wstąpieniem w nowy obowiązek radziłem się jeszcze z mojém sumnieniem, od niejakiego czasu częściey obudzającém się we mnie, i uczyniłem postanowienie, nigdy duszy mojey zabóystwem nie skazić, nigdy nie dopuszczać do tey zbrodni żadnego z moich towarzyszy.

„Spadek po moim poprzedniku był bardzo znaczny, i zabezpieczał los móy obecny; przynaymniey mogłem nadal cudzą własnością nie obciążać swego sumnienia. Nic z każdey zdobyczy nie brałem dla siebie, dzieląc wszystko między towarzyszów; dla tego więc wszyscy, samą chciwością rządzeni, duszą i ciałem stali się do mnie przywiązani, i wszelkie moje rozkazy z nadzwyczayném posłuszeństwem i ści-

słością wykonywali. Tym sposobem w ciągu lat trzech, potrafiłem istotom, tak spodlonym, nadać cokolwiek skłonnieyszy do ludzkości sposób myślenia. Bóg, przed którym mam zdać rachunek z moich postępków, wié, jak nie raz dobrze czyniłem; jak nie raz ocierałem łzy cierpieniu; jak często zmartwionym pociechę, a nierzadko w chatki ubogie, dostatek na mieysce nędzy przynosiłem.

„Tymczasem odebrałem wiadomość o śmierci mojego oyca: rozrzutność jego żony pozbawiła go majątku i szczęścia. Zostałem sam jeden na świecie, wśród milionów ludzi *sam jeden!* Ani jedno serce miłością dla mnie nie biło; imie moje wszędzie z przeklęctwem i wstrętem wymawiano: czułem się nieszczęśliwszym od każdego, kogo tylko wzrok móy spotykał. Blisko roku trzymałem się w górach nie daleko Madrytu: potém zdało się mnie przyzwoiciey obrać inne stanowisko; to jest mieysce, gdzie ty mieszkałaś, moja Rozauro! W małym poczcie zaufanych udałem się naprzód dla obeyrzenia, czy las przyległy zamkowi *Wilamroza* mógł nam dać bezpieczny przytułek? Przebrany za mnicha wszedłem jednego razu, jeszcześ nie musiała zapomnieć, do tey kaplicy, gdzie się ty modliłaś. Rozauro! kochanko mey duszy! matko mojego syna! teraz historya moja przychodzi do kresu, kiedy niezwyciężona namiętność, niezłomna miłość ku tobie, zmusiły mnie i ciebie pogrążyć w niedoli. Tak Rozauro! kocham ciebie, nad moc wyrażenia, i kochać będę do zgonu: dałaś mi złotą obrączkę, świętą dla mnie; wziąłem ją za wróżbę, którą ziścić, cokolwiekby się

stać miało, uczyniłem postanowienie. Przebrany, w rozmaitych postaciach prawie codzień ciebie widywałem, i codzień ogień zajęty we mnie, wzrastał i silniey mię pochłaniał. Przypadek sprzyjał moim zamiarom, opanowania ciebie podstępem lub mocą.

„Niedaleko od *Wilamrozy* towarzysze moi obdarli jednego młodzieńca: był to ten sam, którego imie poźniey przyjąłem; zamiast którego, jam cię prowadził do ołtarza, gdziem ci przysięgę wieczney wierności złożył: był to *Lewenek*, przez swojego i twego oyca za męża tobie przeznaczony. Przypadkiem znaydowałem się wtenczas z nimi razem i postrzegłem w zabranych papierach listy starego barona, a w nich cel podróży owego młodzieńca. Natychmiast z takiego odkrycia osnowałem plan przyszłego powodzenia dla siebie; powierzyłem tajemnicę niektórym z naywiernieyszych spólników, i oni skłonili się wspierać móy zamiar. Naprzód zaprowadzono barona z jego służącym na mieysce upatrzone, a ja przybrałem jego nazwisko i stanąłem w Wilamrozie, powziąwszy wcześnie wiadomość o wszystkich okolicznościach domowych rodziny Leweneków, o których mię postrachem zmuszony sługa barona uwiadomił. Postęp pomyślny zdrady przewyższał moje nadzieje; i kiedym doprowadzał do skutku me zamysły, tymczasem niewolnik, pod ścisłą strażą w sklepie podziemnym w kaplicy był trzymany, gdzie tajemnie dostarczałem mu żywności. Tam zmuszony przez moich towarzyszów pisywał listy do swojego oyca, które na wsparcie mego postępku potrzebne były. Sługę zaś, że

mniey nam był przydatny, kazałem zaprowadzić do mieysca, od naszego pobytu oddalonego, gdzie on wkrótce z przyczyny mocnego przestrachu życia dokonał. Było to pierwsze życie ludzkie, za które przed Bogiem odpowiedzieć winienem. Jakżem był przy tobie szczęśliwy! Jakąż rozkoszą, miłość twoja mnie poiła! a jednak nie mogłem nakazać milczenia mojemu sumnieniu. Coraz mocnieysze czyniło mi ono wyrzuty, nakoniec całą spokoyność wydarło, sen nawet opuścił zbrodniarza. Wielem już wyznał przed tobą: pozwol jeszcze w krótkich wyrazach objawić naystrasznieyszy z moich występków. Drży moja ręka, wzdrygam się cały; lecz muszę, muszę do reszty wyznać przed tobą, jak to wyznam przed sądem moim. Baron pokusił się o ucieczkę, potrafił już umknąć spod straży; lecz został dognany. Wtenczas.... Rozauro! z mojego rozkazu, okropność kończyć mi nie dozwala, zaledwo mogę wyrazić, z *mojego* rozkazu, żeby zniszczyć przeszkodę mym zamiarom, *życie mu odjęto.*

„Zapomniy mnie! na nienawiść i przekleństwo twoje zasłużyłem. Jakże dusza twoja nieskażona, wzdrygać się musi na wspomnienie niegodziwego sprawcy takiey zbrodni! Nic mnie uniewinnić nie może, ani tego żądam: na śmierć zasłużyłem, i chcę umrzeć. Ach! na cóż mi życie bez ciebie! a ty, ty na zawsześ dla mnie stracona! Tyś powinna, i będziesz mię przeklinać. Teraz moja Rozauro! *przebacz* nareszcie. Ucałuy ode mnie naszego syna z miłością macierzyńską, i day mu swoje błogosławieństwo; moje, przeklęctwem byłoby dla niego. A kiedy on do-

rośnie, wtenczas złagodź, ile możesz, wiadomość o moich zbrodniach, aby syn ze wstrętem swojego oyca nie wspominał. Twóy oyciec pewno mnie przeklina, i ma do tego prawo: bo córkę jedyną, która całą jego pociechę stanowiła, którą się on pysznił tak słusznie, ja na wieki nieszczęśliwą uczyniłem. Nie śmiem go prosić o przebaczenie; czyliżbym się mógł tego spodziewać? Lecz ciebie czysta, nieskażona duszo, ciebie błagam o to! Może nie zawiedziesz ostatniey mojey nadziei? O, ulżyy mi w ciężkiey drodze, w drodze straszliwey... na plac kary! Rozauro! jeszcze raz myślą przyciskam ciebie do mojego serca, jeszcze raz daję ustom twoim płonący miłością pocałunek. Nazwiy, mię twoim mężem! droga żono moja!..... i dość na tym świecie. Teraz przed tobą upadam, Wszechmocny Boże! wielki, lecz skruszony grzesznik, żebrzę odpuszczenia. A jeśli miłosierdzie jego i mnie nie odrzuci; wtenczas, wtenczas Rozauro! ja ciebie tam zobaczę, ciebie, i dziecię nasze; tam, u tronu przedwiecznego, u którego dziś błagam potrzebney mocy na zniesienie ostatnich chwil moich! Rozauro! bądź zdrowa! Pamiętay o twoim nieszczęśliwym mężu...."

Powielekroć Rozaura przerywała czytanie, serce jey żal rozdzierał, a boleść zmysły odbierała. Poźno już wieczorem wpuściła Gertrudę do swego pokoju: nic przed tą powiernicą nie było skrytego, na jey piersiach w potokach łez wylał się jey smutek. W kilka dni potém doszła wieść, że król zatwierdził wyrok śmierci na męża Rozaury; przypadkiem ona naprzód odebrała tę wiadomość, która nadzwyczayny sku-

tek na niey sprawiła. Łzy ustały, i powierzchowność jey okazywała więcey spokoyności, więcey wytrwania. W takiey postawie weszła do pokoju swojego oyca, skąd on dla słabości zdrowia nie wychodził przez dni kilka. „Mam prośbę do ciebie oycze, rzekła, i jestem pewna, że dobroć twego serca nie dozwoli jey odrzucić. Stale przedsięwziąłam udać się do Madrytu i błagać Króla o ułaskawienie dla mojego męża; na to proszę twojego zezwolenia.“ Manfred chciał przerwać, lecz ona daley mówiła: „wiém co chcesz powiedzieć: prośba moja ma bydź odrzucona; niech i tak będzie, ja przynaymniey spełniłam moją powinność, i to przekonanie mnie uspokoi.”

Żaden opor, żadne przekładanie nie mogło odwieść Rozaurę od powziętego zamiaru. Statecznie trwała w swojém przedsięwzięciu, i nakoniec zyskała pozwolénie udać się do Madrytu, z tym jednak warunkiem, aby naymnieyszego nie czyniła starania, ażeby się widzieć i mówić ze swoim mężem. Alonzo oświadczył chęć jey towarzyszenia, i w kilka godzin siedziała już ona w pojeździe ze swoim stryjem, synem i Gertrudą, śpiesząc tam, gdzie mąż w łańcuchach okuty, czekał ostatniey swojey godziny. Bez przerwy odbyła się podróż, i już byli tylko o mil kilka od Madrytu, kiedy przypadek znowu dał im uczuć całą srogość przeznaczenia. W prędkim biegu po złey drodze wywrócił się pojazd; nikt nie został uszkodzony, lecz koło przednie pękło, i dla naprawy kilka godzin zmitrężyć potrzeba było.

Weszli przeto podróżni do naybliższey o-

berży, zmartwieni tak przykrém zdarzeniem. Rozaura usiadła w kącie obok stryja starającego się wszelkiemi sposobami ją pocieszać. W tém się drzwi otworzyły, i wszedł włoch przedający ryciny. Alonzo, chcąc czémkolwiek, sprawić rozrywkę swojey synowicy, kazał kupcowi towar pokazać. Lecz czyjeż pióro wydać jest w stanie okropne położenie Rozaury, kiedy włoch, zalecając swoje obrazy z kolei zaczął opowiadać głosem przenikliwym: „tu, niechay *Donna* uważa, oto jest *Masseto*, sławny bandyta, w rozmaitych postaciach i czynnościach wystawiony. Na tey rycinie wydano, jak on dziecię zabija: tu, jak w obecności jego żony, drabanci królewscy biorą go do więzienia: tu......" Hultaju! przerwał Alonzo, czy nie widzisz, że się damie źle zrobiło? precz! precz stąd natychmiast! Mrucząc przez zęby włoch, zebrał czém prędzey swóy towar, i wyszedł z izby. Rozaura za pierwszym rzutem oka na położony przed nią obraz, poznała bardzo trafny wizerunek swojego męża. Opowiadanie włocha mowę jey odjęło: przerażona, jak trup blada, zaledwo się mogła utrzymać na krześle, i jak tylko kupiec odszedł, padła bez czucia na ręce stryja. Całe jey męztwo z takim trudem utrzymywane, znikło wówczas, znowu jak przed tém poddała się zupełnie cierpieniom, i w tym stanie duszy przybyła do Madrytu. Nazajutrz wybrała się póyść do Króla. Naprózno Alonzo przekładał: że Król choćby i życzył, czego przypuścić nie można znając jego niechęć ku hrabióm Wilamroza, nic jednak przeciw prawóm uczynić nie może; a za-

tém, że jey prośba ze wszech miar bezskuteczna bydź musi.

Nic Rozaury wstrzymać, nic jey postanowienia zmienić nie było w stanie. Z niespokoynością i trwogą oczekiwał hrabia powrótu synowicy. Wkrótce wróciła, i pierwszy jey widok upewnił jego, że się w swoich domysłach nie mylił. Ani jedna łza niezwilżyła jey oczu, niema, z twarzą zapadłą, z obłąkanym wzrokiem, drżąca cała, weszła chwiejąc się do pokoju, usiadła na łóżku i skrywszy twarz w poduszki, zdaje się, że już nic nie widziała, co się około niey działo, nawet nie uważała na swojego syna. Alonzo miłością oycowską kochając synowicę, cierpiał na widok jey męczarni, lecz nie śmiał naymnieyszego uczynić zapytania z bojaźni, aby nanowo nie rozjątrzyć jey rany. W takiém położeniu zastał ich wieczor pierwszy i ostatni pobytu w Madrycie. Alonzo w myślach zatopiony przechadzał się wprzód i nazad po przyległym pokoju. Gertruda siedziała u pościeli małego Manfreda, i ledwo słyszanemi tony starała się do snu jego ukołysać. W tém Brygida, córka gospodarza domu, weszła do pokoju, gdzie Rozaura leżała jeszcze na łóżku, oddana miotającey nią boleści. Już się zmierzchło, i w sąsiednich domach wszędzie ognie świeciły. Dziewczyna stanęła przy oknie, i patrząc na ulicę, zaczęła mowić, „Takto jest zawsze, nigdy lud nie wytrzyma, żeby się tu nie zbierał; a wszystko przez samą tylko ciekawość; może też i litość kogo do nieszczęśliwego przywodzi; lecz ten tłum widzów zapewne tylko pomnaża jego duszy cierpienia.” Rozaura przysłuchała się tym

słowom i podniosłszy głowę „o kim to mówisz?” spytała u dziewczyny ciągle stojącey przy oknie: „O kimże, jeśli nie o ludziach zbiegających się ze wsząd dla widzenia *Masseta*, herszta zbóyców.” Był to dawniey zwyczay, że przez cały tydzień przed dniem kary. każdy mógł odwiedzać przestępcę na śmierć skazanego. Więzień kratą od widzów przedzielony, przyymował od nich podarki, czynione zazwyczay w rzeczach do zjedzenia, lub w pieniądzach na zakupienie modlitew pośmiertnych za jego duszę odprawowanych.

Rozaura zawołała Brygidę do siebie, i pytała się jey cichym i drżącym głosem: „Czy daleko stąd do więzienia? czy się podeymiesz mnie tam zaprowadzić?” Dziewczyna patrzyła na nią z zastanowieniem, i w ostatku rzekła: „Więzienie może bydź o kroków dwieście od naszego domu. Jeśli chce, abym ją przeprowadziła: bardzo dobrze. Lecz jakim sposobem *Siniora*, będąc tak słabą, odważa się na to? Przykro jest patrzeć na cierpienia nieszczęśliwego; a któż może bydź nieszczęśliwszym nad podobnego człowieka? Prawdziwie, ja tego nie poymuję; widok taki bardziey jeszcze zdrowie *Siniory* osłabi.” Rozaura, nic nie mówiąc wstała z łóżka, podeszła do drzwi pokoju, gdzie zostawał jey syn, Alonzo i Gertruda, i zawoławszy tę ostaśnią, szepnęła jey do ucha słów kilka. Giertruda zbliżyła się do hrabiego i prosiła, aby zostawił synowicę dla spoczynku. Skoro drzwi zamknięto, i Rozaura zapewniła się, że Alonzo na nią nie zwraca uwagi, przyzwała do siebie Brygidę, i włożyła jey w rękę złotą monetę, pro-

sząc, aby ją natychmiast prowadziła na mieysce wiadome. Kręcąc głową dziewczyna pobiegła do siebie, dla wzięcia ciepleyszego ubioru.

„Dla Boga! dokąd to iść zamierzasz?” pytała się Gertruda, niespokoynością dręczona? Rozaura, jakby tego nie słysząc, usiadła przy stoliku, i na kartce swego pugilaresu napisała te wyrazy „Mężu móy, drogi móy mężu! ty nazawsze, do ostatniego tchnienia mego, takim bydź dla mnie nie przestaniesz. Ufay w miłosierdzie Wszechmocnego.

Czujesz skruchę w sercu; ten co widzi myśli twoje, ten po oycowsku sądzić cię będzie. Upadłam do nóg Króla, błagałam przebaczenia dla ciebie: na próżno! Zbawić cię nie mogę; lecz kochać ciebie, kochać tym jeszcze tkliwiey, jest w mojey mocy; na to się odważam, tego mnie sumnienie nie zabrania. Przysięgłam ci na wierność i dochowam jey tobie. Żegnam cię . . . Tam, tam, dokąd ty mnie wyprzedzasz, obaczymy się znowu . . mam nadzieję . . . pragnę . . . nie zadługo” *Rozaura.* „

Potym zwinęła ten bilet, zapięła swoją śpilką mężowi znajomą. Włożyła salop, rzuciła na twarz zasłonę, i trzymając się za rękę Brygidy, wyszła w drogę, naycięższą w jey życiu. Gertruda z trwogą poglądała za nią, nie śmiała jednak nieszczęsney wstrzymywać: bo zamiar jey odgadła.

Drżącym krokiem wstąpiła Rozaura do ciemnicy, gdzie się dręczył jey ulubiony. Szerokie stopnie kamienne prowadziły do drzwi, przy których się wartownik przechadzał. „ Czy możemy widzieć więźnia, i dać mu jałmużnę?„ spy-

tała się Brygida, według zalecenia Rozaury. Żołnierz schylił głowę na znak, że jest wolno. Weszły więc. Wielką izbę mdłém światłem objaśnioną przedzielała krata, na wzrost ludzki wysoka: za nią siedział więzień rękami i nogami do wielkiey kłody przykuty; wsparty na stole, twarz chustką zakrywał. Przed kratą stało wiele ludzi, z ciekawością nań patrzących, niektórzy z nich przyniesione podarki przesuwali pomiędzy pręty żelazne na ćwierć łokcia jeden od drugiego oddalone. Rozaura czując, że ją siły opuszczały, oparła się o słup przy kracie. Na trzy kroki prawie była ona od swojego męża, od męża zawsze tak mocno od niey kochanego, i naycichszym głosem nie śmiała objawić mu swego przybycia.

Co raz się zmnieyszała liczba patrzących, i wkrótce dwie tylko, lub trzy kobiéty zostały. Nie raz chciała Rozaura głosem tkliwym miłości wymówić imie swojego męża; lecz bojaźń obudzenia w jego sercu strasznej burzy, powiększenia jego nieszczęść, i zwrócenia na siebie uwagi osób będących jeszcze w ciemnicy, ciągle ją wstrzymywała. Nadto przyrzekła była oycu, że z mężem mówić nie będzie: co wszystko zmuszało ją spełnić obietnicę. „Idźmy stąd, dla Boga, idźmy!„ powtarzała cicho Brygida.„ Zaraz, zaraz! żałośnie odpowiadała Rozaura, a smutek głos jey tłumił. W tym momencie więzień podniósł głowę, i na obie zwrócił wzrok natężony.

Jeśli Rozaura nie chciała bydź poznaną, należało jey odeyść niezwłócznie. Raz jeszcze spóyrzała na męża, i z całey mocy przez kratę

rzuciła mu na kolana bilet przygotowany, potym chwyciwszy za rękę swoją towarzyszkę wybiegła z ciemnicy. „Rozauro!” rozległo się za nią wołanie; lecz ona, nie słuchając, podwoiła kroki. Prawie bez sił przypadła do domu i rzuciła się na ręce Gertrudy. Brygida pomogła zanieść ją do łóżka, gdzie noc całą w silney gorączce przetrwała; nazajutrz na nic nie bacząc nalegała, aby wyjechać z Madrytu. Alonzo musiał przystać na jey żądanie, i zaledwo świtać poczęło, już byli w drodze do Wilamrozy. Przez całą podróż Rozaura siedziała w głębokiem zamyśleniu pogrążona; ani jedno słowo, ani jedno narzekanie z ust jey nie wyszło. Nie daleko zamku spotkał ich posłaniec z doniesieniem, że Hrabia miał się daleko gorzey „I to jeszcze!” wymówiła wtenczas z westchnieniem: „czy to jeszcze nie do dna wypiłam kielich goryczy?” Odtąd wpadła znowu w zamyślenie, i ciągle w tym stanie zostawała.

Dwa dni i dwie nocy przepędziła Rozaura przy łóżku oyca chorego. Nadszedł dzień trzeci, dzień naznaczony na spełnienie kary na jey mężu, wtenczas udała się do kaplicy w lesie, i tam w głębokiey samotności, w poście i modlitwach miała przepędzić dzień ten naystrasznieyszy w jey życiu. Słudzy mieli rozkaz nie zbliżać się do niey. W udręczeniach i boleści przeszedł ów dzień okropny, którego każda chwila mogła bydź ostatnią w życiu jey męża; sroga niepewność o czasie jego kary, powiększała jey męczarnie; w każdém mgnieniu oka czuło jey serce śmiertelne uderzenie. W takim stanie został ją wieczor. Ostatnie promie-

nie gasnącego słońca różowém światłém oblały jedną część kaplicy, a daley szary zmrok panował. Rozaura, długą żałobą okryta, leżała jeszcze na stopniach ołtarza, kiedy nagle za nią dał się słyszeć lekki szelest: powstała i uyrzała mnicha przy wchodzie do kaplicy, jak niegdyś jey luby w odzieży duchowney stanął przed nią raz pierwszy. W tém głos ledwo słyszany wyrzekł jey imie. Zlękniona podeszła doń bliżey, a wtenczas głos, nieobcy jey sercu, powtórzył raz jeszcze: „Rozauro!” „O Boże!” krzyknęła ze wzdrgnieniem, i w mgnieniu oka padła na ręce swojego męża.

Długo oboje, oniemiali we wzajemnych objęciach, poili się roskoszą, oddawna ich sercom nieznaną. Nie prędko Rozaura pierwsze przerwała milczenie: „Ale dla Boga, powiedź mi, jakim sposobem tu się znaydujesz? Jak mogłeś uyść od swojego sądu . . . od śmierci?” „Czy jesteśmy tu bezpieczni?” przerwał Woldemar. (Zawsze go tak nazywać będziemy). „Lękam się tylko, odpowiedziała Rozaura, aby wkrótce nie szukano mnie tutay: bo o zachodzie słońca miałam powrócić do domu” „Kiedy tak, rzekł Woldemar, muszę zostawić napotém powieść mojey przygody, i proszę idź prędzey do domu, niżeli tam zaczną myśleć o tobie. Dla mnie jest tu kryjówka bezpieczna, niegdyś przypadkiem przeze mnie odkryta. Jeśli będziesz mogła bez narażenia tajemnicy, dostarczać żywności, przechowam się tu spokoynie, póki nie nadeydzie czas opuszczenia tego przytułku.” To mówiąc, zbliżył się do ołtarza, pocisnął ukrytą sprężynę; natychmiast deska odpadła, i cie-

mny przestwór odkryła. Tam schodki kręto prowadziły do sklepu, podobnego temu, jaki Wilamrozom był wiadomy. Porozrzucane truny i kilka jakichś sprzętów zbutwiałych napełniały tę jaskinię, tak jednak, że dla dwóch ludzi dosyć mieysca zostawało. Tu zbieg miał szukać schronienia, tu postanowił czekać swey lubey, tu ona przyyść obiecała, jak tylko bez podeyrzenia będzie mogła to uczynić. Woldemar miał przy sobie trochę żywności, i mógł z biedy przeżyć dni kilka: a tymczasem była nadzieja, że zręczność pozwoli dostarczyć mu świéżego posiłku. Skoro się on skrył dostatecznie, Rozaura znowu padła na kolana, i w tłumie uczuć rozlicznych, z mocném biciem serca, gorąco dziękowała niebu za ocalenie życia tego, którego śmierć . . . była pewną, i któregoby własną śmiercią kupiła. „Teraz już jest bezpieczny . . . uniknął kary haniebney . . . o niczém więcey nie myśliła ona w tey chwili. Ni przeszłość, ni przyszłość obchodzić ją nie mogła; sama teraźnieyszość całą myśl zaymowała; dość jey było na tém, że się złączyła ze swym lubym, tak nagle, tak niespodzianie, i wtenczas właśnie, kiedy sądziła, że już był stracony na wieki. Już noc rozciągnęła ciemną zasłonę nad przyległą okolicą, kiedy Rozaura do zamku wróciła.

Tu znalazła swojego oyca, daleko w gorszym stanie, niż go zostawiła, i znowu noc całą przy nim przepędzić miała. Radość z ocalenia męża nowych jey sił dostarczyła. Już była północ minęła, kiedy nagle oddział jazdy zatrzymał się przed zamkiem, i dowódzca żądał, aby

go wpuszczono. Alonzo kazał spełnić to żądanie. Wszedł on, i objawił rozkaz królewski, aby nayściśley przetrząść zamek, i wszystkie jego okolice, ponieważ bandyta *Masseto* uciekł z więzienia, i, jak się domyślają, musi znaydować się blizko Wilamrozy. Wiadomość ta mocno Alonza zmięszała: skryć jey przed Manfredem niepodobna było, chociaż się lękać należało smutnych skutków z takiego doniesienia.

Rozaura, od chwili powrótu z kaplicy, nie bez trudności utrzymująca postać, równie jak przedtém stroskaną, dopiéro się zlękła widocznie. Zaraz przyszło jey na myśl, że i kto inny tak łatwo może odkryć wchód tajemny do sklepu, jak się to jey mężowi zdarzyło. Hrabia Manfred czuł razem i radość i gniew, słysząc o ucieczce Woldemara. Cieszył się on, że człowiek, tak ścisłym węzłem z nim połączony, uszedł katowskiego topora, i tém od wieczney hańby dom Wilamrozow zasłonił; ale się razem gniewał za to, że go mógł ktokolwiek posądzić o danie przytułku temu, który na rodzinę Wilamrozów, na dóm tyle wieków między pierwszémi w Hiszpanii kwitnący, tak wiele nieszczęść sprowadził. Przepatrzywszy wszystkie kąty i zakątki wewnątrz i zewnątrz zamku, i nic nie znalazłszy, goście nieproszeni udali się do lasu, aby, według danego zalecenia, zwiedzić go i przetrząść jak nayściśley. Z sercem przerażoném Rozaura poglądała za nimi. Chciała modlić się do Boga i prosić o opiekę nad jey mężem; lecz tego uczynić nie była w stanie. Drżały jey usta, gorączką spalone: pierś wzdymała się konwulsyynėm wzruszeniem: serce gwałtownie biło, i

nogi usłużyć nie mogły. Rzuciła się do kolebki swojego syna. Jak anioł uśmiéchało się dziecię uśpione: jego twarzyczka nigdy żywiéy, jak teraz, nie przypominała rysów oycowskich. Z załamanemi rękami oparta na jego pościeli, wzrok w niém utopiła: i oyciec chory, i wszystko, koło niey przytomne, znikło z pamięci. Wszystka jey myśl tam uleciała, gdzie przebywał niebezpieczeństwem zagrożony . . . za nim tylko jey westchnienia wznosiły się do nieba.

Gertruda zastępowała mieysce swojey pani przy łóżku chorego, do przyszłego poranku. Cała noc przeszła w niespokoyności: hałas jeżdżących tu i ówdzie żołniérzy, częste ich wołania, bezprzestannie słyszeć się dawały. Ze dniem cichość wróciła. Rozaura przyszła do okna i z rozczuleniem patrzyła na wschód słońca. Cóż jey ten dzień przynosił? szczęście, czy rozpacz? Czego się miała spodziewać, czego oczekiwać? Wtém przyszła do niey jedna ze służących i doniosła, że młynarz nie daleko mieszkający opowiedział, jak oddział woyska, wyszedłszy z zamku, przechodził mimo niego, i żołniérze z gniewem i złorzeczeniem rozmawiali między sobą o złém powodzeniu ich szukania. Serce Rozaury tylko co nie wyskoczyło z radości, lecz razem, żeby nie dać podeyrzenia, powierzchowność jey obojętną bydź musiała. Wtenczas dopiéro, kiedy odjazd żołnierzy uniósł jey troski i straszną wątpliwość o losie męża, oddała się uwagom, które wprzódy zaymować jey nie mogły, bo trwoga wszystkie myśli tłumiła. „Jam go schroniła, zbawiła od kary *sprawiedliwey*; tu nie mógł on długo przebywać; a więc w kray

inny — i jeżeli będzie żądał, abym mu towarzyszyła, rzuciła oyca, i poszła za bandytą — za zabóycą" mimowolny dreszcz ją przejął, wzdrygnęła się, i myśl nieskończona pierzchnęła. Lecz, mimo tego wszystkiego, głos tajemny w jey sercu silnie za nieszczęśliwym przemawiał: czyliż nie dosyć on ukarany? Wszakże prawie gwałtem zbieg okoliczności pociągnął go do występków. Czyliż nie szczerze skruszoném sercem żałował za grzechy i postanowił przez całe życie, dobrém złe wynagradzać? Alboż ty nie przysięgłaś na pamięć swey matki, nie opuszczać go *nigdy*? Ty sama wzywałaś gniewu Boga na wiarołomną. Ty u ołtarza, w obec kapłana i przytomnych, przed Bogiem, przysięgłaś mu *wierność, miłość, i podległość aż do grobu.* Nakoniec, czyliż nie on jest oycem twojego syna, który jego rysy nosi? czyliż głos przyrodzenia przez usta twego dziecka za nim do ciebie nie mówi? Czyliż możesz bydź nieczułą na to wołanie? Rozauro! czyliż już niekochasz tego, który niegdyś był wszystkiém dla ciebie?

Chętnie Rozaura słuchała uczuć, które tak tkliwie do niey przemawiały. „Tak jest! rzekła gorzkiemi łzami zalana, tak! zachowam wierność jemu przysiężoną. Miłość moja powinna go odrodzić, dla niey powinien on spełnić ślubowane postanowienie: czyniąc dobrze, zagładzić złe przezeń popełnione. Powinien uszczęśliwiać innych, aby się za niego modlili, powinien zawdzięczyć miłosierdzie Bozkie, tak jawnie w cudownném jego wybawieniu okazane. Gorąca modlitwa zakończyła to rozmyślanie. Pokrzepiona nowémi siłami, Rozaura przyszła do łóżka

swojego oyca, i znalazła go nierównie słabszym; ale też razem daleko łaskawszym, niżeli był wczora. Skoro ją postrzegł, podjął się, i z łagodnym uśmiechem wyciągając ku niey rękę,, jak się ty masz Rozauro? zapytał, i syn twóy jak się ma? Pierwszy raz od wieczora strasznego zapytał się o nim. Radośna nadzieja, że może teraz zechce go widzieć, ożywiła Rozaurę. Spiesznie wybiegła po małego Manfreda, i razem z nim upadła do nóg oyca, prosząc o błogosławieństwo dla iey syna, jak niegdyś w dniach szczęśliwych! . . . Z miłym uśmiéchem dziecię wyciągnęło rączki do swojego dziada. W niemém walce z sobą samym, miotany przez naytkliwsze uczucia, leżał stary Manfred: łzy Rozaury, widok wnuka, przeczucie blizkiego zgonu, wszystko się to skupiło, i . . . natura zwycięztwo odniosła. Długo uściskał córkę i wnuka, i nakoniec z rozrzewnieniem wymówił: ,,błogosławię ciebie z całego serca mojego, ciebie i matkę twoją.''—,,I jego . . oyca mojego syna'' błagając dodała Rozaura. ,,Nie przeklinam go'' odpowiedział umierający, po długiém milczeniu ,,Oycze! ze łkaniem wołała Rozaura'' on się nawrócił, jam mu przebaczyła, i ty przebacz jemu i mnie razem: bo jeszcze, ach oycze! *jeszcze go kocham!* Z trudnością podjął się konający, spóyrzał na córkę, długo nie spuszczał z niey oczu, a potém głosem łagodnym wymówił ,,ty go jeszcze kochasz Rozauro? I jeśli tak, za tę miłość stałą, dla ciebie tylko, i ja mu przebaczam; równie jego, jak ciebie błogosławię —teraz — żegnam was! . .'' Za danym znakiem Alonzo zbliżył się ku niemu, chwycił

go za rękę Manfred, i daley mówił: ,,bracie kochany nie opuszczay ich oboyga, bądź dla nich oycem — ja . . . . . ze ściśnionych piersi głębokie uleciało westchnienie, i skończyły się jego troski. . . .

Komu Opatrzność zsyła cięźkie cierpienia, temu i siły do ich znoszenia daje. Rozaura była tego przykładem. Nieszczęsna czuła, że tylko w męztwie i cierpliwości od Twórcy zesłaney naywiększe jego miłosierdzie na nią spływało, z wdzięczném sercem sama to wyznawała i starała się bydź godną tey łaski. Alonzo z pociechą widział takie usposobienie synowicy, i starał się, czém mógł, ulgę w jey smutku przynosić.

Już północ była, i mieszkańcy zamku udali się do spoczynku. Wtenczas Rozaura postanowiła z zapasem żywności odwiedzić kaplicę w lesie. Ani okropność nocy, ani słota, ani burza szumiąca wówczas, nie mogły zatrzymać: wyszła z zamku przez drzwiczki, pod jey tylko kluczem będące. Czarne, cięźkie obłoki zakryły xiężyc, i głęboką ciemność rozciągnęły w około ,,Boże! miey litość nademną! westchnęła, i drżącym krokiem zaledwo trzymając się na nogach, szła daley. Z mocném biciem serca wstąpiła do kaplicy, i z trudnością dobrała się do ołtarza; skryta latarnia w ręku była jey przewodnikiem. ,,Woldemarze! wymówiła cicho. Woldemarze powtórzyła po chwili . . . nié masz odpowiedzi! Spiesznie przypadła do wiadomey kryjówki, szczęśliwie znalazła sprężynę, pocisnęła, i otwór do sklepu został odkryty. ,,Woldemarze! jeszcze raz zawołała; lecz znowu na-

próżno. Zaledwo jey sił wystarczyło zeyśdź po krętych wyłamanych schodach. Weszła nakoniec. Przykry duszący wyziew jey oddech tłumi: trzymając latarnią przed sobą, ogląda się wkoło . . . i nareszte, jakie przerażenie! wśród trun i nagich skieletów, postrzegła męża, bez ruchu, bez czucia, rozciągniętego na ziemi. Nagle się rzuciła do niego, i probowała wszelkich sposobów przywrócenia mu życia. Mocne nacieranie winem, które z sobą przyniosła, i świeże powietrze wbiegłe przez otwór niezamknięty, pomyślny skutek przyniosły. Po chwili Woldemar zaczął przychodzić do siebie; otworzył oczy i poznał swą żonę. Pierwsze słowo Rozaury, była prośba, aby czém prędzey opuścił ten loch okropny. Zapewniony, że już się żołnierze oddalili od zamku, postępował za Rozaurą, opowiadając: jak go przeszłey nocy szukano po całey kaplicy, jak słyszał każde słowo żołnierzy; nakoniec, jak ciągła trwoga i nadzwyczayny zaduch odjęły mu zmysły i sprawiły omdlenie, w którém go została. Rozaura także opisała mu wszystkie zdarzenia tey nocy, i prosiła wzajem, aby przed nią chciał odkryć, jakim sposobem nastąpiła, prawdziwie cudowna, jego ucieczka z więzienia. Woldemar usiadł obok żony na stopniach ołtarza, i zaczął opowiadać: „Przez zbrodnie dopiąłem zamiaru posiadania ciebie; lecz zaledwo spełniło się moje życzenie, natychmiast skrucha i zgryzoty sumnienia całą mi spokoyność wydarły. Sen uciekł z powiek moich, i tylko jednemu Bogu wszechmocnemu, w którym mam nadzieję, że mię miłosiernie sądzić będzie, Jemu tylko wia-

domo, jak mocno cierpiałem, jak go błagałem o litość nade mną, jak moje serce skruchą przejęte chciwie chwytało każde zdarzénie, gdziem mógł czynić dobrze według możności. Pożerająca zgryzota zwątliła moje zdrowie, i jużem czuł naygorszy stan sił moich, kiedy, jeśli przypominasz, jednego ranku wpadłem w słabość niebezpieczną: wtenczas przeczytałem w gazetach ogłoszenie ceny za moję głowę. Ledwie zacząłem powracać do siebie, aż przyszła chwila okropna mojego życia: jak zbrodniarz jawny z twoich objęć zostałem wyrwany. Kara mi straszną nie była: lecz myśl, żem ciebie pogrążył w przepaść niedoli, żém twojemu oycu i stryjowi, za przywiązanie ku mnie, wydarciem szczęścia odpłacił; żè syna mojego, samo imie oycowskie, wieczną hańbą okryło; że nie miałem czasu tyle dobrego uczynić, ile sobie zamierzałem — ta myśl dopełniała miary moich udręczeń. W takim stanie przybyłem do stolicy, i przepędziłem czas mojego więzienia: każda chwila była coraz sroższą dla mnie męczarnią, osobliwie kiedy, jak źwierzę, dla nasycenia ciekawości pospólstwa, na widok publiczny wystawiony zostałem. Tłum ludu napełniał moją ciemnicę: piekło w tém życiu! Tak siedziałem wtenczas, kiedy ty, moja Rozauro, blisko mnie byłaś: kiedy, nie więcey, jak o trzy kroki od ciebie, twojey obecności nie czułem, i — ach Boże! czy podobna? rzuciłaś mi kartkę ze szpilką znajomą; poznałem ją natychmiast, i w momencie, gdym podniósł oczy, wołając ciebie, jużeś ty znikła. Jakże ci opiszę te uczucia, które we mnie twe wyrazy obudziły; poznałem,

żem się nie mylił; że ty sama tak blisko byłaś przy mnie. Zbliżała się ostatnia chwila mojego życia, serce moje składało ci dzięki, za dowód tak mocny niezmienney miłości. Przybycie twoje zbawiło mię od rozpaczy: odtąd w duszy mojey ucichła burza, i do myśli o tobie, o naszym synu, przyłączyła się pamięć o tym, przed którego sądem wkrótce stanąć miałem. Jednego wieczora siedziałem w myślach smutnych zanurzony, kiedy jakiś duchowny znakomity wszedł do mojey ciemnicy. Był to mąż poważny, towarzyszyło mu wiele osób nayznacznieyszych w Madrycie. Długo on ze mną rozmawiał; nadzwyczayna przyjemność w jego głosie, szczególna przenikliwość i łagodność w słowach, zajęły moją uwagę i ufność wzbudziły. Odchodząc dał mi błogosławieństwo, pochwalał spokoyne spuszczenie się na wolą Opatrzności, i skruchę, która, jak mówił, wydawała się w każdym moim wyrazie. Nakoniec podał mi do ucałowania rękę, i razem, wyobraź moje zdumienie, mały papierek zwinięty: w nim, skoro zostałem sam jeden, znalazłem te wyrazy: „niegdyś ocaliłeś mi życie, pamiętam o tém, i myślę o sposobie odpłacenia ci wzajemnością. Jutro, jak nayraniey, proś o przywołanie kapłana z nayblizszego klasztoru Benedyktynów, on ci resztę objawi. Staray się o poprawę w dalszém życiu.”

„Jak piorunem rażony osłupiałem, nie mogąc zebrać porządnie w méy myśli, biegu wypadków. Jużem ci wprzódy powiedział, że, będąc głową zbóyców, starałem się zawsze, kiedy tylko mogłem, wstrzymywać ich od gwał-

tów i okrucieństwa. Przechodząc pamięcią wszystkie zdarzenia, przypomniałem nakoniec, że w samey rzeczy jednego razu przeszkodziłem moim towarzyszóm zabić pewnego zakonnika, u którego spodziewali się oni znaleźć wielkie skarby. Przestając na tém, co on sam im oddał, na móy rozkaz puścili go w całości. Ten to postępek, memu sercu właściwy, miał mi teraz przynieść drogie owoce. Wezwany nazajutrz kapłan, przyniosł tajemnie w zawinięciu habit benedyktyński, narzędzia do rozpiłowania łańcuchów, kieskę ze złotem i bilecik, w którym nauczał, abym przez dzień pracował nad złamaniem okucia, a wieczorem, jak tylko zostanę sam jeden, abym przywdział ubiór przygotowany i wyszedł ostróżnie; przy tém upewnił mię, że nie doświadczę żadney przeszkody. W niespokoyności i trwodze, modląc się przepędzałem godziny do momentu mojego oswobodzenia; czas upływał, to zbyt prędko, to nadto powoli: nakoniec zostałem samotny, zrzuciłem więzy, okryłem się zakonnym ubiorem, i wyszedłem z więzienia. Obu żołnierzy będących na straży, znalazłem głęboko uśpionych, a benedyktyn czekał na mnie przed bramą. ,, Pośpieszay! dla Boga, pośpieszay! cicho rzekł on do mnie, i olbrzymim krokiem mię poprzedzał. Szedłem za nim, prawie bez zmysłów. Nie daleko od bramy więzienia znaleźliśmy chłopca z mułem; przewodnik dał mi znak, abym siadł na niego. Ze łzami serdeczney wdzięczności chwyciłem rękę kapłana. ,, Bądź dobrym człowiekiem" wyrzekł do mnie — i ja, wznosząc oczy do nieba, dałem mu na to obietnicę. Rozauro! do-

trzymam słowa. Cięźkie moje przestępstwa; lecz szczerze za nie żałuję, i chcę je wynagrodzić. Rozauro! czy będziesz moim przewodnikiem w drodze poprawy? Czy dotrzymasz ślubu złożonego przed ołtarzem Boga? Albo może powinienem puścić się na świat, który jedna tylko miłość twoja, rajem uczynić dla mnie jest zdolna? Czy chcesz bydź świadkiem, jak wszystkie myśli, wszystkie uczynki moje, będą dążyły do tego, abym został dobrym człowiekiem? jak poświęcając życie dla ciebie i syna, będę się starał przytłumić smutek i cierpienia, które znosiłaś z mojey przyczyny?"

Klęcząc przed Rozaurą, Woldemar patrzał na nią, jak na istotę nadziemską; i taką się wydawała ona w samey rzeczy. Usiadła wyżey na stopniach, wiodących do ołtarza, trzymała wzrok w niebo wzniesiony, jakby czekając zesłania rady i mocy. Xiężyc się wychylił spod obłoków, i rzucił blade światło na wspaniałą, ślachetną twarz Rozaury; w jey łagodnych, pełnych dobroci oczach, jaśniało całe szczęście Woldemara. Gęste czarnych włosów uploty lekko spadały po jey szyi na ramiona. Bez ruchu z załamanémi rękami w myślach utonęła, i tylko niekiedy lekkie ust poruszenie dawało znać, że się modliła: „Boże! oświeć mnie, niech oczy moje uyrzą ścieżkę prawą, niech po niey mię prowadzą. Day znak, że potwierdzasz to, co me serce doradza!" W tymże czasie gołąb', spoczywający w starych murach świątyni, spłoszył się poruszeniem Woldemara, i okrążywszy ołtarz, wyleciał przez okno. „Dzięki tobie! zawołała Rozaura w uniesieniu, dzięki tobie,

Wszechmocny Panie! zjawisko to biorę za godło mi dane. Teraz rozjaśniało w mey duszy: i postępować będę tak, jak mnie moje serce prowadzi." Potym z zapałem uścisnęła męża, i głosem pełnym miłości rzekła: „nigdy nie opuszczę ciebie! smutek i radość będę z tobą dzieliła."

W objęciach żony Woldemar zapomniał o przeszłości. Rozaura jego przyszłym losem rządzić miała, za jey radą sklep rodziny Wilamrozów miał bydź nadal jego schronieniem; aż póki ona, po odbytym pogrzebie oyca, nie będzie przygotowaną do opuszczenia z nim razem Hiszpanii. Spokoyne Helwecyi doliny miały im dać przytułek. Tam ułożyli nabydź szczupłą siedzibę, i w zaciszu wieyskiém czynić tyle dobrego, ile zakres ich działań dozwoli. Raniey, niż żądali, dzień zaświtał, i pierwsza zorza powinna była Rozaurę z lubym rozdzielić. Odeszła więc, obiecując go jednakim sposobem codziennie odwiedzać.

Rozaura oddała ostatnią posługę zwłokom swojego oyca, i łzą gorącą miłości dziecinney skropiła jego mogiłę, wzniesioną, jak życzył sobie, w ogrodzie zamkowym, obok grobu jego małżonki. Potém postanowiła powierzyć stryjowi choć w części swoję tajemnicę. Oycowskie jego przywiązanie ręczyło za jey ufność, tym bardziey, kiédy widziała, że Alonzo nie stracił dobrey skłonności dla jey męża, i zawsze się uymował za niego, ilekroć ze zmarłym hrabią o nim rozmawiał. Manfred testamentem wyznaczył brata opiekunem swojego wnuka i stróżem interessów córki: ze wszech miar był on

godzien jey zaufania; wszystko więc, co się dotąd działo, oprócz wiadomości, że się Woldemar w okolicach zamku znayduje, słyszał Alonzo z ust synowicy; lecz też razem dowiedział się o niezmienném jey postanowieniu, że odtąd pod cudzém nazwiskiem, w obcym kraju ze swoim Woldemarem życie przepędzać miała.

Bez oporu Alonzo potwierdził ten zamiar: równie on, jak Rozaura, był pewnym, że Woldemar spełni swoje zamysły, i uszczęśliwi jego synowicę.

Dwa tysiące czerwonych złotych, znalezionych w gotowiźnie po śmierci hrabiego, wystarczały dosyć na zabezpieczenie losu oboyga małżonków. Nadto jeszcze, Alonzo przyrzekł uczciwie zarządzać pozostałym majątkiem, mieszkać ciągle w Wilamrozie, i żeby mieć jakąkolwiek rozrywkę w swojey samotności, sprowadzić jednego dawnego przyjaciela, i w jego towarzystwie spokoynie przepędzić ostatnie dni życia. Gertruda także miała w zamku pozostać, i jak przed tém gospodarstwem zawiadywać, aby hrabia nie czuł odmiany w porządku, do którego nawykł oddawna. Myśl o rozstaniu się była okropna dla Alonza; lecz gdy tego wymagało szczęście synowicy, chętnie swoje własne oddawał na ofiarę. Jedyna tylko nadzieja, odwiedzenia jey w nowey oyczyźnie, choć nie prędko, choć nie na długo, zawczasu przynosiła mu ulgę, i czyniła znośnieyszym moment rozdzielenia.

Nigdy przywiązanie, wiążące nas do rodziny nierozerwanym łańcuchem, tak mocno czuć się nie daje, jak wtenczas, kiedy z nią rozstajemy się nazawsze, bez pocieszającey nadziei powrótu, obacze-

nia się kiedykolwiek. Tu jest ukryty magnes, pociągający do siebie wszystkie myśli, wszystkie nasze życzenia. Cokolwiek dobrego odebraliśmy z rąk opiekuńczych oyca, z serca tkliwego matki ukochaney, to wszystko wtenczas przychodzi na pamięć w postaci olbrzymiey — czuję to — miłości rodzicielskiey nic zastąpić nie potrafi, można ją porównać z brylantem, którego blask żywy gasi wszystko, cokolwiek go otacza.

Tak i Rozaura teraz dopiéro uczuła, jak jest ciężko opuszczać dóm oyczysty. Woldemar w przybranym stroju, opatrzony świadectwem prałata rzymsko-katolickiego, które jedynie przez wdzięczność za ocalenie życia, na wsparcie ucieczki było mu dane, mając przy tém pasport na imie kapłana benedyktyńskiego, udającego się do Niemiec w interessie klasztoru, napisany, bez bojaźni odkrycia wyjechał swobodnie z Hiszpanii, kilką tygodniami pierwiey od żony, i czekał na nią za granicą. Rozaura raz jeszcze zwiedziła każdy zakątek, i wszędzie znaydowała lube przypomnienie; raz jeszcze pomodliła się w kaplicy, gdzie tak często modły przesyłała do nieba; raz jeszcze na mogile swey matki powtórzyła przysięgę pilnowania cnoty, i przez to stania się jey godną. Raz jeszcze przytuliła do serca szanownego stryja, uścisnęła przywiązaną swoję piastunkę Gertrudę, poleciła jey staraniom spokoyność Alonza; i siadła do pojazdu w drogę, dokąd ją prowadził nowy cel życia.

Oboje małżonkowie, przybywszy na jedną z dolin kwitnących Szwaycaryi, niczego tak nie żądali, jak tam założyć swoje mieszkanie. Przypadek ich chęciom sprzyjał. Niewielką maję-

tność przedawano wówczas: kupił ją Woldemar, i już kilka tygodni bez trosk żyli we własnym domu. Położenie mieysca szczególny miało szacunek w oczach Woldemara, dla tego, że tu większą miał zręczność do dobrych uczynków. Nie wspominając już o tém, że oboje gotowi pomagać i radą i czynem, starali się naprzemian zyskiwać serca mieszkańców doliny; nadto jeszcze Woldemar z niezrównanym pośpiéchem biegł na pomoc nieszczęśliwym podróżnym, ratując ich nawet z narażeniem własnego życia. Ten tylko, kto przebywał bezdroża Helwecyi, może mieć dostateczne wyobrażenie, jak częste bywają tam zdarzenia, w których człowiek może bydź aniołem wybawicielem dla swego bliźniego. W podobnych przypadkach Woldemar był niezmordowany, mniey bacząc na własne bezpieczeństwo, nie raz rzucał się w przepaści, gdzie nigdy noga ludzka nie powstała. I kiedy Rozaura strwożona, ostrzegając go prosiła, żeby był ostróżnieyszym, on zwyczaynie odpowiadał: „Ach Rozauro! wiele, wiele dobrego uczynić powinienem, żebym przeszłość zagładził, a życie tak jest krótkie!" Ubiór ich nie różnił się od odzieży krajowców, i nic nie mogło wydawać ich rodu. Ktokolwiek znał; lubił ich i poważał: i niczegoby im nie brakło do szczęścia, gdyby zwątlone zdrowie Woldemara nie mięszało spokoyności, mianowicie Rozaury. Tym bardziey była ona zmartwioną, że nie same tylko cierpienia cielesne jego dotykały; podobnie, jak niegdyś w Wilamroza, ogarnęła go i teraz tęsknota, skutek ciągłych zgryzót sumnienia! Na łonie lubey rodziny, nie cieszył się on nie-

zmieszanym pokojem. Naprózno Rozaura, dla rozweselenia jego, używała wszelkich sposobów, jakie tylko miłość poddać jey mogła. Czasem się udawało przerwać posępność na godzinę, na dzień cały; lecz potym wpadał znowu w stan tak niszczący jego siły żywotne, że się przedczasem zestarzał. Jakkolwiek jednak brakło mu na zdrowiu, czynność wszakże jego nie znała granic, skoro tylko kto bądź potrzebował pomocy.

Już więcey roku upłynęło od czasu zamieszkania w dolinie, kiedy jednego wieczora Woldemar ze swoją rodziną siedział koło palącego się kominka. Okropna ulewa dżdżu ze śniegiem szumiała na dworze. W tém ktoś zapukał w okno, i dał się słyszeć głos znajomy jednego z wieśniaków, który prosił Woldemara o pożyczenie kilku narzędzi: gdyż szedł z braćmi na ratunek nieszczęśliwego, który spadł w przepaść, gdzie, jak słudzy jego donieśli, nie zawodnie zginie bez pomocy. Żywo się porwał Woldemar, z mocném postanowieniem towarzyszenia im w tey wyprawie. Naprózno odwodziła go Rozaura, naprózno przekładała, że takie zmordowanie pogorszy słabość jego zdrowia, że powinien pamiętać na ważnieysze obowiązki dla żony i syna. Wszystko daremnie! „Na mojey duszy cięży zabóystwo, szepnął on jey do ucha, tysiące ludzi ocalonych przeze mnie nie zatrą tego występku." Wiedziała Rozaura, że wtenczas, kiedy podobne myśli duszę jego napełniały, wszelkie przekładania były bezskuteczne; dała więc pokóy, i Woldemar poszedł z nimi. Skoro tylko została sama, padła na kolana, i go-

rąco błagała Stwórcę o błogosławieństwo zamiarów jey męża. Ze drżeniem czekała jakieykolwiek wiadomości, i długo żadney nie było. Nakoniec jeden z sąsiadów powrócił, i doniósł, że mąż jey, narażając się na widoczne niebezpieczeństwo, potrafił nareszcie ocalić zbłąkanego, a teraz zostaje jey tylko uczynić przygotowanie, aby tak mąż, jak nieznajomy, znalezli posiłek i wygodne mieysce do spoczynku. Wprzódy już o tém myśliła Rozaura: pościel ogrzana i wzmacniający napóy na nich czekały: wkrótce przybyli. Z przelęknieniem cofnęła się Rozaura, postrzegłszy Woldemara: nigdy jak teraz nie przerażała jego twarz wychudła, bladość nazwyczayna, blask oczu zgaszony. Dobrzy sąsiedzi byli jey dla pomocy: układli nieznajomego na łóżku, a męża ledwo skłonili do zmienienia odzieży, bo więcey nic nie chciał przyymować. Zaraz po odeyściu sąsiadów, nieznajomy, do sił nieco powróciwszy, żądał widzieć swojego gospodarza, i jak słyszał, nie będąc zupełnie zmysłow pozbawiony, swojego wybawiciela. Przybliżył się Woldemar i po przyjacielsku podał mu rękę, którą on uścisnąwszy z serdeczną wdzięcznością, zaczął mówić drżącym jeszcze głosem: „ Tyś mi życie ocalił: czémże mogę, czem powinienem za to odpłacić? Jestem bezdzietny, i opływam w bogactwa tego świata; powiedz czego żądasz; wszystko gotów jestem uczynić. Ach! ja nié mam nikogo, dodał z westchnieniem, komubym miał skarby moje zostawić! Ty prosty wieśniak, w pocie czoła spożywając chleb zapracowany, wierz mi, szczęśliwszy jesteś, daleko szczęśliwszy, ode mnie.... pewny, że twoje dziecię śpi swobodnie na łonie

matczyném; a ja... nié mam już syna! Zginął dziwném zdarzeniem. O niechay przeklęstwo spadnie na jego zabóycę. Tu bez sił upadł starzec na łoże, nie uważając na to: co się przy nim działo.

Ze straszném otrętwieniem słuchał Woldemar ostatnich słów nieznajomego: twarz jego stawała się coraz bladszą, coraz mocniey wszystkie członki drżały. A kiedy starzec wymówił przeklęstwo, on bez sił upadł na krzesło. Rozaura czém prędzey położyła małego Manfreda, i rzuciła się do męża; lecz on powstał natychmiast, i z zapałem rzekł do nieznajomego: „powiédz, na wszystkich świętych zaklinam, powiédz twoje nazwisko.”

„Baron Lewenek”, była odpowiedź, jak piorun uderzająca. Woldemar krzyknął przeraźliwie i ukrywszy twarz w dłonie, oparł głowę na ramieniu stojącey przy nim żony. Nastąpiło długie milczenie: starzec z pomięszaniem poglądał na parę, stojącą przed jego oczyma. Rozaura, rychley odzyskując przytomność, rzekła: „proszę darować: jest to, silne zmordowanie i słabość; mąż móy chory: za pozwoleniem, ja go muszę do łóżka zaprowadzić.”

Zawołała na czeladź, i zaniesiono go do pościeli. Gwałtowna gorączka zaraz mu przytomność odjęła, w strasznych marzeniach przepędził resztę nocy i dzień następny. Baron Lewenek odchodził od siebie ze zgryzoty, sądząc jedynie, że wysilenie się przy jego ratunku było przyczyną choroby wybawcy.

Lekarz, sprowadzony z nayblizszego miasteczka, powiedział, że chory był bez nadziei. Z prze-

rażeniem Rozaura usłyszała ten wyrok; zdawało się, że ją rospacz dobije. Dzień i noc nie odstępowała od łóżka ukochanego męża; rzadko kiedy miéwał on przytomność; i co godzina stan jego pogorszał się widocznie.

Pogrążony w smutku głębokim, siedział baron w swoim pokoju, i oparłszy głowę na ręku wzdychał nad sobą: Ach Boże! czyliż miara moich udręczeń jeszcze się nie spełniła? I pocóż puściłem się w tę drogę nieszczęsną? Czy dla tego, żebym zniszczył szczęście poczciwey rodziny, żebym wydarł męża biedney żonie, oyca małemu sierocie?" W tém drzwi się otworzyły, i weszła Rozaura. Smiertelna bladość na jey twarzy, chód wątpliwy, cała postać drżąca, wydawały stan jey duszy. Chwiejącym się krokiem zbliżyła się do starca, i odezwała się głosem przerywanym: „Przychodzę, od śmiertelnego łoża mojego męża, za kilka minut już się zakończą jego cierpienia. Czy chcesz w ostatnich chwilach przynieść ulgę konającemu? czy chcesz mu nagrodzić za narażenie życia dla ciebie?" Baron chciał przerwać; lecz ona daley mówiła: „Pozwól, niech skończę. Nieszczęsny, za którym prosić przychodzę, w ostatniey walce z życiem, czuje na sercu ciężar straszney winy, czy chcesz mu ją przebaczyć? podać mu swoją rękę?" „Jemu przebaczyć!.. wszystko, wszystko! zawołał baron poruszony; lecz nie poymuję, co ja..... „Przebaczyć jemu, przerwała Rozaura, że on, o Boże! że on... że z jego rozkazu... syn twóy.... Ach bądź litościwy, jak jest litościwy ten, który jeden tylko teraz jest w stanie zgłębić moje udręczenia, moją go-

rycz.. bądź litościwy! on życie twoje ocalił; u nóg twoich błagam miłosierdzia: nie potępiay zabóycy twego syna!"

Siły ją opuściły, prawie bez zmysłów padła na ziemię. Baron z załamanemi rękami patrząc w niebo. wołał: „Boże! jak są skryte ścieżki twoje! Tyś równie sprawiedliwy, jak miłosierny! W pokorze upadam przed Tobą."

W tém wezwano Rozaurę do chorego, podniosła się za pomocą Barona, i chwiejąc się śpieszyła wlać, ile mogła, pociechy do serca konającego, którego kochała z całym zapałem, a teraz miała go utracić na wieki!

Gdybyśmy wcześnie znali całą gorycz podobney chwili, staralibyśmy się troskliwiey usuwać ciernie z drogi, którędy postępują osoby, złączone z nami węzłem natury, lub obowiązków. Lewenek powolnym krokiem posuwał się za Rozaurą, i wszedłszy do pokoju, gdzie na śmiertelném łożu jęczał nieszczęśliwy, zatrzymał się opodal od niego. Objęty uściskami rozpaczającey żony, Woldemar podniosł głowę, i głosem przytłumionym rzekł do niey: „Rozauro! ostatnia godzina dla mnie wybiła, może i on..... ach nie! nie, on mnie przebaczyć nie może." „Przebacza on tobie, przerwał baron: z narażeniem własnego życia tyś mnie od śmierci wybawił: tyś wszystko poświęcił, nie pomnąc na żonę i syna. Stałeś się ofiarą twojey wspaniałomyślności; twoje usiłowania, o śmierć cię przyprawiły; a tak *życie za życie.* Widzę twoją skruchę, i na znak pojednania, podaję ci moją rękę. Bóg jest litościwy, będę go błagał za ciebie."

Z niewymównem poruszeniem, zbierając o-

statnie siły konający, chwycił za rękę barona, przycisnął do ust swoich, potym położył na głowę żony, i wskazał na syna śpiącego spokoynie... Dusza jego na drugi świat przeszła: i tam, gdzie każdy zapłatę sprawiedliwą odbierze.

Któż z nas nie opłakał drogiey dla siebie osoby? Któż nie doświadczył, jak łzy gorzkie, jak żal przenikliwy, odeymują wtenczas wszystkie siły żywotne? I kto przy tém nie doznał silney, potężney z nieba podpory, wśpierającey go w chwilach rozpaczy? W czyjeż piersi gorąca modlitwa nie wlała błogiey pociechy, jaką nas obdarza wiara chrześcijańska?

Rozaura modliła się. Z sercem krwią zalaném przesyłała westchnienia do nieba, i otrzymała dar miłosierdzia. Wszechmocny zlał na nią balsam pociechy, — w *czasie*, zawsze zbawiennym lekarstwie dla wiernych w Odkupiciela. Obowiązki przykuły ją do syna, na wypełnienie których zgromadziła resztę sił swoich. Skoro tylko przeszły pierwsze chwile żałości, Rozaura, na żądanie barona, ciągle przy niey będącego, zaczęła wybierać się w drogę do mieysca jego mieszkania. Swoją zaś siedzibę darowała jedney ubogiey, powszechnie dla dobrego prowadzenia się, lubioney parze; podobnież rozdała znaczną ilość pieniędzy potrzebującym wsparcia mieszkańcóm doliny: tą dobroczynnością wzniosła sobie trwały pomnik w sercach dobrych wieśniaków, do których grona, niegdyś tak mile była przyjęta. Dla mieyscowego kapłana przeznaczyła także opłatę, znacznie powiększającą jego dochód roczny, z warunkiem, aby strzegł mogiły jey męża, i każdego roku,

w dzień jego śmierci przesyłał gorącą modlitwę do tronu Naywyższego. Przy tém nabożeństwie, jak się poźniey dowiedziała Rozaura, wszyscy mieszkańcy doliny zawsze się znaydowali; i nie będąc od nikogo proszeni, zasadzili drzewa i kwiaty na tém mieyscu, gdzie spoczywały zwłoki Woldemara.

Przybywszy do domu baron, za piérwszą wziął powinność, przysposobić za syna młodego Manfreda, i wyjednał u swego Monarchy pozwolenie nadania mu nie tylko imienia, lecz wszelkich prerogatyw, służących prawemu następcy domu Baronów Leweneków. Dwa lata jeszcze cieszył się szanowny starzec towarzystwem Rozaury i małego Manfreda, potym na ich ręku zakończył swe życie.

Jak tylko Rozaura urządziła interessa sukcessyi, udała się natychmiast do swojey oyczyzny, aby w zamku rodzinnym poświęcić resztę dni wychowaniu syna. Lecz naprzód serce ciągnęło ją tam, gdzie spoczywały małżonka popioły. Nie zważając na odległe wyboczenie z drogi do Hiszpanii, odwiedziła spokoyną dolinę, niegdyś swóy przytułek. Trzy dni w smutku, lubym dla jey serca, przepędziła na tém mieyscu, które było świadkiem przeszłego jey szczęścia, pożegnała je na zawsze, i udała się do swey oyczyzny.

Jakieś szczególne uczucie żalu napełnia naszą duszę, kiedy po długiém oddaleniu wracamy na mieysce, gdzie wszystko tak jest, jak było, a nie masz już osob, z któremiśmy żyć przywykli. Zdaje się, że serce nasze traci ich nanowo, i jeszcze raz otwiera się rana nie dobrze zgojona. Tak i Rozaura, uczuła napowrót wszy-

stkie przeszłe cierpienia. We łzach rzewnych upadła na łono stryja, na łono Gertrudy: „Ach już go tu nié ma, nié ma już więcey tego, który całe me szczęście stanowił!" wyrzekła z tkliwém rozczuleniem.

Wiele dni, wiele tygodni minęło, nim się burza w jey duszy uciszyła. Odtąd żadna noga obca nie śmiała tknąć progów kaplicy w lesie; ona tylko sama dla siebie zrobiła ją świątynią pokoju. Każde tam mieysce wzbudzało rozrzewniające przypomnienia. Tam często ze wzniesioném sercem przesyłała modły do nieba za duszę swojego męża; tam się modliła za oyca, matkę i stryja; tam naresztę błagała Wszechmocnego o zlanie szczęścia na jey syna. Bóg wysłuchał jey prośby: syn doszedł lat młodzieńczych, i walcząc za oyczyznę, otrzymał wieniec laurowy, a poźniey wierna miłość mirtem go uwieńczyła. I... tu spoczęła po tylu cierpieniach ta córka przywiązana, wierna żona, matka tkliwa. Tu spoczywa do tey chwili, kiedy Pan Wszechmocny powoła ją do siebie, kiedy się ona ucieszy wieczném szczęściem, i otrzyma naywyższą nagrodę: pokoy niczém niezmieszany!

F. W.